

DESCENT™

LEGENDY MROKU



BRYNN

AUTOR: ROBBIE MACNIVEN

To był kiedyś czyjś dom. Teraz pozostał z niego tylko popiół i szczątki spalonych fundamentów, z których leniwie ulatywał dym, rozświetlony blaskiem świtu.

Brynn przykucnęła i wytarła ostrze miecza o łachmany wojownika Uthuków, który leżał u jej stóp. Pionowe cięcie sięgające od prawego ramienia aż do klatki piersiowej świadczyło o tym, że czciciel demonów został zgładzony jednym potężnym ciosem.

Oprócz niego wokół Brynn, w sercu tego, co kiedyś było rolniczą wioską na granicy baronii Kell i Dhernas, leżało jeszcze sześć ciał. Przytapała ich, gdy próbowali postawić wśród dymiących ruin słup z osadzoną na nim czaszką owcy, na której namalowano krwią jeden z obrzydliwych symboli Plagi Szarańczy.

A to byli tylko maruderzy. Reszta bojówki przeszła tamtędy poprzedniej nocy, zanim wzeszło słońce.

Brynn polowała na nich od dwóch tygodni. Rozmawiała z mieszkańcami, którzy cudem zdołali ująć z życiem, i ustaliła, kto dowodzi Uthukami – Willem Morant, były seneszał Cytadeli, bohater baronii Kell i słynny Protektor. Obecnie znany jako Morant zdradziecki, Morant bratobójca, Morant wyznawca demonów. Jego zbrodnie wyszły na jaw po upadku Cytadeli.

Brynn wstała i, schowawszy miecz do pochwy, wsłuchiwała się w przerażającą ciszę. Nie pozostało ani jedno gospodarstwo, stodoła czy przybudówka. Zwierzęta zaszlachtowano w zagrodach, a truchła pozostawiono, by zgniły. Po mieszkańcach wioski nie było śladu, choć Brynn czuła ich zapach. Zapach ich zwęglonych ciał, pomieszanych z popiołem.

Ostatnimi czasy widywała takie sceny zbyt wiele razy. Spalone miasta i wsie, ich mieszkańcy wybici, spopieleni, poświęceni w rytuałach lub po prostu wyrznięci w krwawym szale, którym karmili się Uthukowie i ich demoniczni władcy. Zawsze przybywała za późno. Zawsze obiecywała, że pomści ofiary. I zawsze przypominało jej to o Cytadeli.

Uthukowie zaatakowali fortecę w Archaut zupełnie niespodziewanie, zaskakując nieprzygotowanych Protektorów i studentów, wśród których znajdowała się Brynn. Mieszkańcy twierdzy zostali zdradzeni przez Moranta i innych, niegdyś dumnych obrońców Terrinoth, którzy zmienili się w żądnych krwi nikczemników skuszonych kłamstwami szeptanymi z mrocznych miejsc.

Dzwon alarmowy zabił zbyt późno. Brynn zerwała się z posłania jako pierwsza i jako pierwsza dotarła do drzwi baraku. Jak na ironię zginęłaby też jako pierwsza, gdyby nie magiczna eksplozja, która uderzyła w wejście i uwięziła ją pod gruzami. Gorące łzy wściekłości spływały jej po twarzy, gdy bezsilnie patrzyła, jak wiedźmy krwi mordują jej towarzyszy broni.

Morant przyczynił się do masakry. Brynn widziała, jak własnym mieczem zabił Florena, z którym dzieliła kwatery. Niegdyś dumna stał spłynęła krwią tych, których miała chronić.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



Gdy wreszcie udało jej się uwolnić, było już po wszystkim. Ten sam bezruch, ta sama cisza, która ogarniała teraz zgłiszczą wioski, zapanowała wtedy w Cytadeli. Korytarze, w których spędziła najszcześniejsze lata swojego życia, usłane były zakrwawionymi ciałami przyjaciół i nauczycieli. Została sama.

Nie wszyscy Protektorzy byli w Cytadeli podczas jej upadku. Ci, którzy zarządzali obroną w innych zakątkach Terrinoth i mogli przekazać dowodzenie komuś innemu, powrócili niezwłocznie do wielkiej fortecy, gdy tylko dowiedzieli się o pogromie. Brynn została na miejscu tylko po to, by pomóc przy pogrzebach. Wspominała słowa Alys Rayne. Była jej bliższa niż inni opiekunowie, zarówno jako przyjaciółka, jak i mentorka. Doradzała jej, gdy po raz pierwszy znalazła się w Cytadeli.

„Pamiętaj, czego uczyłam was wszystkich pierwszego dnia. Protektorzy bronią Terrinoth. Jesteśmy tarczą ludu, nie mścimy się dla samej zemsty”.

Brynn próbowała zastosować się do tej rady. Starła się powstrzymać chęć własnoręcznego wymierzenia Morantowi sprawiedliwości, dopóki nie uzmysłowiła sobie, że wszyscy, którzy słuchali tej lekcji, już nie żyli. Musiała ich pomścić, niezależnie od tego, co mówiła mentorka.

Zaczęła tropić Uthuków. Po masakrze rozdzielili się na mniejsze watahy, wybrała więc tę, która kierowała się na północ, w stronę Forthynu – jej rodzinnej baronii. Od tamtego czasu coraz bardziej się do nich zbliżała.

Jakiś odgłos przerwał rozmyślenia Brynn. Tętent kopyt. Obróciła się gwałtownie, ponownie dobywając broni.

Zbliżali się jeźdźcy. Pokonali najbliższe wzgórce i cwałowali w stronę wioski, wzbijając za sobą chmurę pyłu. Uniosła dłoń, by osłonić oczy przed porannym słońcem.

Było ich czterech. Jeden dzierżył proporzec, który powiewał w świetle poranka. Fala koloru wśród czerni spalonego drewna i szarości dymu. Brynn rozpoznała znajdujący się na nim herb: złotego aleriona na błękitnym tle. Symbol jej ciotki Adelynn, baronessy Forthynu.

Mimo wszystko nie schowała miecza.

Jeźdźcy dotarli do wioski i zatrzymali przed nią rżące konie, wokół których osiadała chmura kurzu. Mężczyzna na czele grupy intensywnie jej się przyglądał. Był pulchny, zarumieniony z wysiłku i ubrany w czerwony mundur. Przez ramię miał przerzuconą haftowaną złotą nicią pelerynę. Brynn rozpoznała go, miał na imię Gerold i był jednym z doradców jej ciotki.

Zaczęła mieć złe przeczucia.

– Pani Brynn – rozpoznał ją i ulga zastąpiła surowy wyraz jego twarzy. Zawsze mówił do niej „pani”, choć powtarzała, że nie pragnie innego tytułu niż „Protektor”.

– Bałem się, że cię nie dogonimy – kontynuował i rzucił lejce jednemu ze swoich towarzyszy, by z trudem zejść z konia. – Dowiedzieliśmy się w Cytadeli, że podążyłaś za Uthuk Y’Ilan.

– Dlaczego mnie szukaliście? Baronía Kell nie jest już bezpiecznym miejscem, nawet dla posłańców mojej ciotki – spytała, gdy podszedł bliżej.

– Na to wygląda – odpowiedział, rozglądając się z niepokojem po ruinach. – Na Kellosa, od lat nie opuszczałem Highmont, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki i baronessa Adelynn nie powierzyłaby jej nikomu innemu.

– Co się stało? – dopytywała Brynn, coraz bardziej zdenerwowana.

Gerold zacisnął usta, jakby starał się znaleźć odpowiednie słowa.

– Twoja kuzynka, Lady Kathryn, nie żyje.

– To niemożliwe – odpowiedziała, skrycie licząc, że się przesłyszała. Szok i niedowierzanie zalały jej myśli, nie potrafiła przyjąć słów Gerolda do wiadomości.

– Lud nie zna szczegółów, chcieliśmy oszczędzić im kolejnych zmartwień – kontynuował, a jego rumiana twarz pozostawała poważna. – Górny Forthyn został zaatakowany przez ciemne moce. Twoja kuzynka zginęła, próbując je odeprzeć.



– Uthukowie? – spytała ostro Brynn z bijącym szaleńczo sercem. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Nie po tym, co przeszła przez ostatnie kilka tygodni.

– Nie sądzę. Nie mamy jeszcze szczegółowych raportów, ale krążą plotki o nekromancji.

– Jak to możliwe? – gniewnie zażądała wyjaśnień, czując jednocześnie złość i smutek.

Pamiętała kuzynkę z wizyt w Highmont, skąd rządziła jej ciotka. Bawiły się razem w dzieciństwie. Kathryn wymyślała dla nich ekscytujące misje wśród rabatek i zamkowych korytarzy. Gdy widziały się po raz ostatni, kilka lat temu, przygotowywała się do podjęcia pierwszych obowiązków jako forthyńska arystokratka i objęcia władzy nad górnym regionem baronii. Była równie zdenerwowana, co podekscytowana nowym zadaniem.

– Nie wierzę, że nie żyje. Ciotka musi być zrozpaczona – wymamrotała Brynn i potrząsnęła głową.

– Cała baronia jest w żałobie, pani – ton Gerolda stawał się coraz bardziej nagły. – Ale w tych czasach nie możemy sobie pozwolić na bezczynność. Lady Kathryn odeszła, a baronessa chce, by dynastia była kontynuowana.

Tego właśnie bała się Brynn, odkąd zauważyła proporzec Forthynu. Jej matka była poszukiwaczką przygód i wychowała Brynn na zimnych, dzikich ulicach Frostgate, gdzie członkowie klanów i łotrzykowie byli jej najbliższymi przyjaciółmi. Natomiast mężczyzna, którego pokochała, ojciec Brynn, był młodszym bratem baronessy Adelynn. Choć wolał życie u boku członkini klanu od highmonckiego dworu, jego córka była połączona więzami krwi z władcami Forthynu.

– Nigdzie z wami nie idę. Jestem Protektorką Cytadeli, nie częścią dworu ciotki. Sądziłam, że to rozumie.

– Zawsze byłeś trzecią w kolejności do tytułu, pani. Teraz, gdy straciliśmy twoją kuzynkę, jesteś następczynią Adelynn. Linia sukcesji jest jasna – odpowiedział Gerold.

– Złożyłam przysięgę Protektora – powtórzyła Brynn i wskazała na leżące dookoła ciała Uthuków, starając się jednocześnie nie myśleć, w jakich okolicznościach złożyła te śluby. Gdy po raz pierwszy przekroczyła próg Cytadeli, spodziewała się, że jej ceremonia zaprzysiężenia będzie wyglądała jak wszystkie inne, że stanie z pozostałymi adeptami, a kaplica wypełni się echem ich głosów zapewniających o wierze i obowiązku, odbijających się od witraży i wysokich sklepień. Zamiast tego uklękła przed osobą pełniącą funkcję Wielkiego Opiekuna i wypowiedziała słowa przysięgi, gdy za jej plecami wynoszono ciała i zmywano krew z kamiennych podłóg.

– Tropiłam te zwierzęta od czasu masakry w Cytadeli – kontynuowała. – Przemierzają baronię Kell, pozostawiając po sobie szlak zniszczenia. Ile jeszcze osób straci życie, jeśli ich nie dogonię?

Gerold westchnął, spojrzał na pozostałych jeźdźców, a potem znów na Brynn.

– Jeśli nie chcesz wrócić dla dobra baronii, zrób to ze względu na swoją ciotkę. Ze wszystkich stron przytłaczają ją trudności. Strata jedyne, ukochanego dziecka to potworny cios, a teraz na jej barkach, bardziej niż kiedykolwiek, spoczywa przyszłość całej baronii. Forthyn musi mieć zapewnioną sukcesję.

– Twierdzisz, że to mój obowiązek? Że przyjęcie pozycji następczyni ciotki to działanie dla większego dobra? Że porzucenie pościgu to sprawiedliwszy wybór? – spytała w odpowiedzi.

– Proszę, żebyś pojechała z nami do Highmont i chociaż omówiła tę kwestię. Stoimy nad przepaścią, pani. Jeśli baronia straci władcę i upadnie, tysiące poniosą śmierć.

Brynn odwróciła wzrok, bijąc się z myślami. Pamiętała krzyki rozlegające się w Cytadeli, zapach krwi i śmiech Uthuków. Pamiętała Moranta, ogarniętego mrocznym szaleństwem, którego niegdyś szlachetną twarz wykrzywiały furia i żądza krwi. Kto, jeśli nie ona, miał go ukarać? Kto nadawał się lepiej do wymierzenia sprawiedliwości niż ona, która przeżyła zaplanowaną przez niego masakrę?

– Zauważyłem, pani – odezwał się powoli Gerold – że wciąż nie schowałaś miecza.

Brynn zorientowała się ze zdziwieniem, że mężczyzna ma rację. Trzymała rękojęść z taką siłą, że jej dłonie zaczęły się trząść. Przypomniała sobie inną lekcję Alys i poczuła przypływ wstydu.





„Miecz i tarcza to wasze narzędzia – oba są równie ważne” – mówiła opiekunka, gdy przez wysokie okna Cytadeli wpadało światło, w którym wirowały drobinki kurzu unoszące się w ciepłym, letnim powietrzu. „Możecie wybrać coś innego niż miecz: młot bojowy, maczugę, bułat czy jakąkolwiek inną śmiercionośną broń, ale wszystkie służą temu samemu. Mają zabijać. Noście swoją broń z honorem, ale jeszcze większym szacunkiem darzcie swoją tarczę, ponieważ... Miecze niosą śmierć, natomiast tarcza oznacza życie. Osłania i chroni. Miecz jest niezbędny, ale to tarcza jest sprawiedliwa. Nigdy o tym nie zapomnijcie”.

Brynn spojrzała na broń w dłoni i przypiętą do ramienia tarczę. Zorientowała się, że podczas walki z Uthukami, pełna mściwej furii, nie użyła jej ani razu. Korzystała wyłącznie z miecza.

Schowała go do pochwy, wzięła głęboki oddech i spojrzała na Gerolda.

– Niczego nie obiecuję – powiedziała twardo. – Ale zaprzestaję pościgu. Kierowanie się wyłącznie żądzą zemsty nie skończy się dobrze. W końcu to zrozumiałam. Odnajdę Alys, moją dawną nauczycielkę, i oficjalnie opuszczę szeregi Protektorów. Potem udam się do Highmont, by porozmawiać z ciotką. Może, jeśli bogowie pozwolą, uda nam się znaleźć rozwiązanie. Ale cokolwiek się wydarzy, wypełnię swój obowiązek, Geroldzie. To mogę ci przysiąc.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



DESCENT™

LEGENDY MROKU



FUKS

AUTOR: ROBBIE MACNIVEN

Dzieci zawsze stanowiły największe zagrożenie.

Nie miało znaczenia, czy były orkami, krasnoludami, gnomami czy ludźmi. Fuks już dawno temu odkrył, że jedyne stworzenie, które potrafiło się do niego zakraść, to dziecko.

Jedno z nich – ludzkie – stało właśnie na środku korytarza i patrzyło na niego. Dziewczynka miała może z sześć albo siedem lat, długą, białą koszulę nocną i świeżo rozczesane włosy słomkowego koloru, które opadały na ramiona. Podniosła wzrok na Fuksa i utkwiała w nim swoje duże, ciemne oczy.

Wpatrywanie się w kogoś było uznawane przez niektórych hyrrinxów za akt agresji. Fuks nigdy nie miał czasu na takie zagrywki, ale mimo to poczuł swoją instynktowną, głęboko zakorzoną reakcję na widok obserwującej go dziewczynki. Odwzajemnił spojrzenie.

– Kotek – powiedziała dziewczynka powoli i z powagą.

– No powiedzmy – odpowiedział delikatnie Fuks, tłumiąc oburzenie, które wywołało w nim to porównanie. Uświadomił sobie, że macha nerwowo ogonem, więc z całej siły skupił się na tym, żeby opanować ten tik.

– Kotek... chce słoik? – kontynuowała dziewczynka z nutą zmieszania w głosie.

Fuks zamarł w bezruchu, gdy tylko dostrzegł wpatrującą się w niego dziewczynkę. To oznaczało, że w rękach nadal trzymał ozdobną złotą wazę Lorimor, którą przed chwilą zaczął ostrożnie zdejmować z piedestału na korytarzu.

– Kotek chce słoik – przytaknął, strzygąc uszami. Dziewczynka zmarszczyła brwi i wyciągnęła w jego stronę palec.

– Kotkowi nie wolno kraść! Kradzenie jest złe!

Fuks obnażył kły w geście frustracji skrywanej za skórzaną maską zasłaniającą jego pysk.

– A jeśli... jeśli kotek chce tylko to pożyczyć? – zasugerował, szukając sposobu, żeby przekonać dziewczynkę do powrotu do łóżka.

– To musi zapytać tatusia – odpowiedziała mu, krzyżując ramiona ze stoickim spokojem. – Tatuś bardzo lubi te dwa słoiki.

– Z całą pewnością – odparł Fuks.

Te dwie antyczne wazy zostały wycenione przez doświadczonego kolekcjonera (zachęconego do „współpracy” przez osiłków Księcia Banity) na kwotę ponad pięciuset koron. Były to dwa najbardziej wartościowe przedmioty, jakie posiadał Lucas Brezer, i stanowiły część fortuny zdobytej dzięki prowadzeniu nielegalnej sieci handlowej, która rozciągała się od Lorimoru na południowym zachodzie aż po Thelgrim na północnym wschodzie.

Książę Banita uznał, że osobiście zweryfikuje wartość tych waz. Właśnie dlatego Fuks i Tali zostali wysłani do posiadłości Brezera w środku nocy. Polowali na antyki.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



Fuks zaczął powoli odstawiać wazę z powrotem na piedestał. Dziewczynka, która najprawdopodobniej była córką Brezera, skinęła głową z surowym wyrazem twarzy.

– Dobry kotek – powiedziała.

Fuks właśnie miał się sprzeciwić, że to nie do końca prawda, gdy nagle usłyszał krzyk dobiegający z wyższej kondygnacji posiadłości.

Należał do Tali.

To miała być szybka i łatwa akcja. Tak mówiła Tali. Omówili cały plan wielokrotnie przed nocą włamu, a nawet przeciwcyli niektóre fragmenty w porzuconym magazynie, który znajdował się na należącym do Księcia Banity gospodarstwie w okolicach Rivengate. Tali, niska, awanturnicza ludzka kobieta, wychowana wśród złodziejskiej armii Księcia, pracowała z Fuksem już wcześniej, dokonując kilku skoków, ale żaden z nich nie był tak duży jak ten. Była starsza od Fuksa i bardziej doświadczona, czego Książę nie omieszkiał podkreślić, zlecając im to zadanie.

– Fortuna zawsze błogosławi mnie swoim szczęściem – powiedział. – W zamian za to ja przekazuję część tego szczęścia tobie, Fuksie. Będzie ci potrzebne. Twoje ostatnie sukcesy były raczej... wątpliwe. Tali się tobą zajmie. Słuchaj się jej tak, jakbyś się słuchał mnie.

– Wiesz, że on celowo traktuje cię z góry? – powiedziała mu później Tali, gdy pochylali się nad mapami posiadłości Brezera, ukryci w cieniach magazynu.

– Kto? – spytał Fuks, zaskoczony nagłą zmianą jej postawy.

– Książę Banita – odpowiedziała Tali tonem bardziej uprzejmym, niż był do tego przyzwyczajony. – Sama nie dałabym rady wykonać połowy numerów, które odstawiliś, odkąd do nas dołączyłeś. Nie potrzebna ci żadna „przychyłość Fortuny”, jesteś najlepszym złodziejem, jakiego znam.

Fuks poruszył uszami rozbawiony.

– Nie traktuj mnie jak durnia – ostrzegł ją. – Pewnie Książę kazał ci to powiedzieć, żeby mnie przetestować. Tali podniosła rękę.

– On wie znacznie mniej, niż ci się wydaje, Fuks. Nie jest wszechmocny.

Fuks nieznacznie wzruszył ramionami. Ludzie tak robili, nauczył się tego od Tali.

– Bez niego nie miałbym nic – odrzekł.

– To ci właśnie powtarza, prawda?

– Czasami – skwitował, nie chcąc wchodzić w szczegóły. – Możemy się skupić na planie?

– Plan jest prosty – Tali odparła z uśmiechem. – To będzie szybka i łatwa akcja.

– Zgodnie z honorem złodzieja? – spytał Fuks. Była to jedna z wielu maksym Księcia Banity, swoisty oksymoron, który miał propagować „dobre” praktyki wśród jego podwładnych. Honor złodzieja wymagał, aby zawsze stawiać łup ponad wszystko.

– Jeśli będzie trzeba – odpowiedziała Tali. – Zgodnie z honorem złodzieja.

Słyszając krzyk Tali, Fuks prawie upuścił wazę. Odstawił ją na piedestał, rzucając pośpiesznie okiem na dziewczynkę. Nie ruszyła się z miejsca, chociaż teraz w jej szeroko otwartych oczach było widać strach.

– Zostań tu – rozkazał Fuks. – I pilnuj wazy.

Rzucił się pędem na czterech łapach. Szara rozmazana plama futra wskoczyła po schodach w dwóch susach. Na samej górze było półpiętro, podobnie jak reszta posiadłości bogato udekorowane ciemnymi panelami ze stalodrzewa i dekoracyjnymi dywanami z owczej wełny pochodzącej z Isheim. Jego wyostrzony słuch wychwycił nie tylko krzyk Tali, ale też odgłosy szarpaniny i łomot, jakby coś ciężkiego się przewróciło. Tali była w tarapatkach.



Półpiętro prowadziło do kolejnego korytarza, który skręcał w prawo. Gdy tak pędził przed siebie, w głowie powtarzał sobie kolejne kroki wyuczonego na pamięć planu. Przeszedł przez drzwi po lewej i wyszedł na antresolę biegnącą dookoła górnego poziomu biblioteki w centrum posiadłości.

Zobaczył, jak Tali szarpała się na dole biblioteki ze strażnikiem w skórzanym kaftanie stojącym nad szczątkami poprzewracanych regałów. Drugi z wynajętych strażników został przygnieciony przez regał, a trzeci biegł właśnie przez pomieszczenie, unosząc nad głowę ciężką pałkę.

Fuks natychmiast dobył swoich ostrokolczych noży, wprawnie trzymając jeden pomiędzy każdym palcem. W tym samym czasie jego wzrok przyciągnęło coś błyszczącego po prawej, co sprawiło, że na chwilę się zawahał.

Zrozumiał, co próbowała zrobić Tali – chciała się wspiąć po regałach na wyższy poziom, żeby ominąć schody. Na antresoli stał piedestał z drugą z bliźniaczych waz, która jasno lśniła w świetle zawieszonego na górze żyrandola.

Fuks spojrzał w dół na Tali. Zauważyła go i to, że stał tuż obok wazy. Zrozumieli się bez słowa.

„Honor złodzieja. Zdobycz ponad wszystko”.

Fuks obnażył kły i rzucił jednym z noży. Mały stalowy cierni wbił się prosto w łydkę mężczyzny z ciężką pałką, który dobiegał właśnie do Tali. Upadł na ziemię z okrzykiem bólu. Strażnik szamoczący się z Tali obrócił się zaskoczony i dostrzegł nad sobą Fuksa. Jego nóż natychmiast trafił w ramię strażnika, jednak drasnął też po drodze rękę Tali.

Strażnik zawył z bólu, gdy Tali odepchnęła go od siebie i krzyknęła:

– Fuks, uważaj!

Fuks zdążył już wyczuć nadchodzący atak. Czwarty strażnik wszedł na antresolę i stanął za nim. Jego porwana bliznami twarz pulsowała wściekłością, gdy unosił swoją pałkę. Fuks schylił się i wykonał przewrót. Usłyszał za sobą grzmot, który wydała roztraskana pod uderzeniem broni drewniana poręcz.

Wylądował przy podeście, na którym stała waza. Ledwie go musnął, ale to wystarczyło, żeby antyk się zakołysał i przechylił za krawędź. Fuks bez zastanowienia wyciągnął przed siebie łapę w rękawicy cienistych szponów i pochwycił wazę.

Spojrzał na nią, uświadamiając sobie, co właśnie zrobił, gdy nagle zza jego pleców doszedł go ryk, który sprawił, że zerwał się na równe nogi i pognął dalej. Kolejne uderzenie pałki rozbiło piedestał, posyłając wokół ostre odłamki, a wściekły strażnik pognął za nim.

– Wracaj tu, ty mały, wyliniały szabrowniku – zaryczał strażnik.

Fuks nie uciekł daleko. Przed nim otworzyły się drzwi i na drodze pojawił się kolejny członek świty Brezera z potarganymi włosami, najwyraźniej wyrwany ze snu. Wszedł do pomieszczenia, żeby go zatrzymać.

Hyrrinx spojrzał na nowo przybyłego mężczyznę, potem na goniącego go strażnika i uświadomił sobie, że nie ma dokąd uciec.

– Nie jestem szabrownikiem – odpowiedział mężczyźnie, który unosił pałkę do ciosu. – Jestem złodziejem. Po czym wyrzucił wazę w powietrze.

Obaj mężczyźni krzyknęli w przerażeniu, wpatrując się w złoty antyk, który niczym w zwolnionym tempie szybował w stronę wysokich krokwi biblioteki.

Fuks syknął i zaatakował w mgnieniu oka. Przejechał cienistymi szponami po udzie pierwszego mężczyzny, który runął na ziemię jak worek kamieni, a ostatnimi ostrokolczymi nożami przyszpilił do ściany rękaw strażnika trzymającego pałkę. Wyprostował się, gdy strażnicy wciąż wrzeszczeli, pierwszy kurczowo uciskając ranę, a drugi próbując oswobodzić ramię. Fuks wyciągnął łapy i zgrabnie złapał w locie spadającą wazę.

Tali rzuciła bomby dymne, a duszące popielatoszarye chmury wypełniły dolną część biblioteki. Złodziejka stanęła pod antresolą, na której znajdował się Fuks, i pomachała do niego.



– Zrzuć ją!

Fuks przytrzymał wazę nad krawędzią i puścił w dłonie Tali. Ta ze stęknieniem złapała antyk w tym samym momencie, w którym Fuks skoczył za nią, lądując na czterech łapach.

– Okno – powiedział, wskazując pazurem pośród dymu możliwą drogę ucieczki. Tali pokiwała głową.

Rzucili się razem do przodu, z pochylonymi głowami, i przebili na zewnątrz przy akompaniamencie tłuczonego szkła. Fuks wylądował, przetaczając się przez krzaki rosnące pod posiadłością, i stanął na nogi w samą porę, żeby pomóc złapać Tali równowagę, zanim waza wypadłaby jej z rąk.

Przebiegli przez bramę Westport i wpadli do uliczki biegnącej wzdłuż tylnej ściany tawerny „Pod Kaczką i Harfą”, po czym przystanęli na chwilę, żeby złapać oddech.

– Tyle, jeśli chodzi o honor złodzieja, co? – powiedziała zasapana Tali z uśmiechem na ustach.

– Hej, przecież mam łup – odparł Fuks, podnosząc wazę.

– Tak, ten, który ja miałam zdobyć – poprawiła go. – Gdzie jest twój?

– Pilnował go szczególnie groźny strażnik – powiedział Fuks, zdejmując maskę, żeby odwzajemnić uśmiech Tali. Złodziejka przewróciła oczami, najwyraźniej mu nie wierząc.

– Mogłeś mnie po prostu zostawić – powiedziała. – Księżę Banita nie będzie zadowolony.

Fuks skrzywił się.

– Liczę na to, że się o tym nie dowie – powiedział z wyraźną obawą w głosie. Tali zaśmiała się i poklepała go po ramieniu, starając się go pokrzepić.

– Wiesz, Fuks... Czasami beznadziejny z ciebie złodziej – stwierdziła. – Ale cieszę się, że taki dobry z ciebie przyjaciel.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.

DESCENT™

LEGENDY MROKU



GALADEN

AUTOR: ROBBIE MACNIVEN

– Tędy.

Mathis przystanął, żeby przyjrzeć się poszyciu, i spojrzął na Galadena.

– Jesteś pewien?

Gdy mówił, elf skupiał wzrok na jego ustach, czytając każde słowo. Przez chwilę wydawał się kontemplanować ich znaczenie i w końcu skinął głową.

– Tak.

Odwrócił się, zanim Mathis zdążył odpowiedzieć, i ruszył dalej w głąb puszczy. Mathis zaklął cicho, próbując go dogonić.

– Nie klnij – wymamrotał Galaden, nie patrząc na Mathisa, gdy ten go dogonił.

– Skąd wiesz, że przekląłem? – zdziwił się Mathis.

– Ludzie są przewidywalni.

Mathis usilnie starał się ukryć zawstydzenie. Wciąż nie przyzwyczał się do dziwnego elfickiego towarzysza. Byli razem na misji, odkąd kapitan łowczych przydzielił Mathisa do pomocy Strażnikowi Dzikich. Elf przybył do ich strażnicy sam i powołując się na starożytny kodeks pogranicza, poprosił ludzi o pomoc w tropieniu watahy Uthuk Y'llan, która od czasu rozbicia inwazji w Kell wciąż grasowała po okolicznych terenach. Kapitan uhonorował kodeks, wysyłając jednego ze swoich łowczych – Mathisa – żeby towarzyszył Galadenowi.

Mathis nawet cieszył się z tego przydziału. Dla ludzi z południowych baronii Strażnicy Dzikich byli niemal mitycznymi postaciami. Historie głosiły, że urządzali ekspedycje daleko poza granice domeny elfów Latari, aby tropić i zabijać dzikie plemiona Uthuków, powstrzymując demonicznych barbarzyńców przed zaatakowaniem kolejnych zaludnionych obszarów.

Będąc tak blisko Strażnika Dzikich, Mathis zaczynał powątpiewać w to, że brak słuchu zapewniał Galadenowi inne przewagi. Ludzki strażnik wychwycił trzask dobiegający z prawej strony i w mgnieniu oka nałożył strzałę, starając się jednocześnie wychwycić zmysłami to, co zakłóciło spokój w lesie. Galaden jednak wydawał się niewzruszony – siedł przed siebie, jak gdyby hałas, który usłyszał towarzyszący mu łowczy, nie miał żadnego znaczenia. Mathis stał jeszcze przez chwilę, przeczesując wzrokiem otaczającą ich zieleń, aż w końcu ze zmarszczonym czołem podążył za swoim towarzyszem.

Słyszał też historie o samym Galadenie. Towarzysze z oddziału opowiadali je później przy ognisku tej nocy, której wychudzona postać stanęła w bramie ich posterunku. Błady elf przez lata był pośrednikiem między swoją rodziną, Evenarilam i innymi ludami Latari a kompaniami ludzkich łowczych patrolujących granice południowego i wschodniego Terrinoth. Było to jeszcze zanim Uthukowie urosli w siłę i zanim tak wielu Strażników Dzikich poległo w walce z nimi. Po tym wszystkim Galaden porzucił ścieżkę dyplomacji, poświęcając się całkowicie tropieniu morderców swoich krewnych.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



Mathis spytał go o to pierwszej nocy, gdy wyruszyli na misję. Elf patrzył na niego przez chwilę, błędząc oczami w mroku rozświetlanym blaskiem ogniska, i w końcu przemówił cichym, chrapliwym głosem.

– Oddali swe życia, żebym ja zachował moje. Ich ofiara nie pójdzie na marne. Każdy zabity Uthuk nadaje cel mojej egzystencji.

W kolejne dni Mathis zastanawiał się nad odpowiedzią Galadena, nad bijącą z jego słów lodowatą i bezwzględną żądzą zemsty. Galaden odmawiał udzielania dalszych odpowiedzi na pytania o jego przeszłość. W zasadzie od tamtego czasu prawie się nie odzywał, z wyjątkiem sytuacji, gdy chciał przekazać Mathisowi informacje dotyczące misji.

Rozległ się kolejny trzask. Mathis znowu przystanął. Tym razem był pewien, że po prawej stronie dostrzegł ruch i że coś przemykało pomiędzy drzewami.

– Galadenie – syknął, ale elf szedł dalej. Wyciągnął więc rękę i złapał go za ramię.

– Stój!

Galaden w końcu się zatrzymał i odwrócił do Mathisa.

– Wrogowie są w pobliżu – odezwał się bezgłośnie, a elf odczytał słowa z jego ust i lekko zmarszczył brwi. Mathis klął w duchu na kapitana za to, że wysłał go tu z Galadenem. W opowieściach Strażnicy Diczego byli urodzonymi myśliwymi, a ich głuchota wcale nie była dla nich przeszkodą. Jednak Galaden najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wydawał się zupełnie bezużyteczny.

I wtedy elf nagle się ruszył.

Mathis szczylił się szybkością w posługiwaniu się łukiem, potrafił nałożyć strzałę na cięciwę i posłać ją w stronę celu w ciągu dwóch uderzeń serca. Ale mimo że patrzył prosto na Galadena, dopiero gdy lotka zafurkotała mu obok twarzy, zorientował się, że elf zdążył sięgnąć do kołczanu, naciągnąć łuk i strzelić.

Przez chwilę ogarnęło go przerażenie, że Strażnik Diczego celował w niego, ale potem usłyszał znajomy dźwięk grotu trafiającego w ciało, po którym nastąpił wrzask bólu. Obrócił się, a jego zielona peleryna łowczego zawirowała, gdy instynktownie sięgnął do kołczanu. W trawie za jego plecami leżał wytatuowany i na wpółnagi berserker Uthuków, zaciskając dłonie na strzale Galadena tkwiącej głęboko w jego piersi. Konający wojownik zachaczał upiornie jak jaszczur.

Wtedy zaczęło się na dobre. Ze wszystkich stron rozległo się dzikie wycie, a z listowia wypadły na nich postacie pokryte bliznami i uzbrojone w prymitywne powykręcane ostrza. To była zasadzka i weszli w sam jej środek.

Mathis posłał strzałę w kierunku pierwszego warczącego Uthuka, który się do niego zbliżył, trafiając go w twarz. Barbarzyńca upadł na ziemię z wrzaskiem, ściskając śmiertelną ranę, gdy łowczy starał się wystrzelić kolejną strzałę.

Za wolno. Jeden z wyznawców demonów był już przy nim i wznosił do góry topór o postrzępionym ostrzu. Mathis dostrzegł maniackalny wzrok, przekrwione oczy i zęby zaostrome jak szpikulce, poczuł też cuchnący niczym podłoga w rzeźni oddech.

Zamiast ciąć toporem, Uthuk zderzył się z impetem z łowczym, popychając go na drzewo i prawie łamiąc jego łuk, który znalazł się pomiędzy nimi. Mathis mocował się z odrażającym masywnym berserkerem, którego chwilę później w bok ugodziła jedna ze strzał Galadena. Uthuk osunął się na Mathisa.

Mathis rzucił go z siebie i wyciągnął długi zakrzywiony nóż łowiecki. Ku swojemu zaskoczeniu nie dostrzegł jednak nikogo, z kim mógłby się zmierzyć. Ciała kilkunastu napastników leżały beładnie na zdeptanej trawie dookoła nich i wszystkie, prócz jednego, którego powalił łowczy, były przebite strzałami o białych piórach. Spojrzał na Galadena z szeroko otwartymi oczyma.



Elf nie odwzajemnił jego spojrzenia. Patrzył na otaczający ich las, stojąc w gotowości z naciągniętą strzałą i wyglądając jak posąg samego Kurnosa w swojej łowieckiej postaci.

Mathis próbował podążyć za wzrokiem elfa, ale nic nie dostrzegł. Las ucichł i znieruchomiał, wracając do stanu sprzed zasadzki. Cała potyczka nie trwała dłużej niż pół minuty.

– Galadenie – syknął, machając, żeby zwrócić uwagę elfa. Ten spojrzał na Mathisa i powoli podniósł palec do ust.

Cisza.

Mathis ledwo zrozumiał, co znaczy ten gest, gdy nagle potworny wrzask przeszył las. Łowczy krzyknął z bólu, upuszczając łuk i przyciskając dłonie do uszu. Upiorny ryk był niczym sztylet przeszywający czaszkę i groził rozsądzeniem bębenków. Mathis upadł na kolana wśród martwych Uthuków, wydając z siebie cichy jęk.

Na szczęście dźwięk ustał, chociaż Mathisowi nadal dzwoniło w uszach. Gdy próbował podnieść łuk, krzywiąc się z powodu pulsującego bólu głowy, nagle wyczuł, że coś porusza się między drzewami i zmierza w jego kierunku. Podniósł wzrok i zamarł ze strachu.

Zbliżała się do niego szaroskóra, wysoka kobieta Uthuków, odziana w skórę i futra. Obnażone części jej ciała były pokryte symbolami nakreślonymi krwią, a na chudej i okrutnej twarzy miała wymalowany wizerunek wyszczerzonej czaszki. Na jej głowie znajdowały się rogi – podobne do baranich – które skręcały się nad czołem.

To była wiedźma krwi, kapłanka Ynfernaelu, wybrańczy demonów.

Pochwycił łuk i sięgnął drżącymi palcami po strzałę. Wiedźma krwi wrzasnęła ponownie. Tym razem Mathis przestał słyszeć cokolwiek. Ból był tak intensywny, że łowczy niemal stracił przytomność. Demoniczne wycie nadwyrężyło jego zmysły do granic możliwości. Zauważył, że na dłoniach, którymi zatykał uszy, ma krew.

Wiedźma Uthuków stała nad nim, wyciągając ze swoich futer paskudny zakrzywiony sztylet. Przestała wrzeszczeć, choć nie robiło to już dużej różnicy – Mathis stracił słuch. Starał się stawić opór, podnosząc słabowicie rękę, ale jego myśli były powolne i otępiałe.

Nie słyszał, co nastąpiło potem. Widział jedynie, jak strzała z białym piórem wbiła się w ciało kobiety Uthuków. Ta w ostatniej chwili się uchyliła, więc grot zamiast przebić jej pierś, trafił w ramię. W jej oczach zapłonęła wściekłość i w tej samej chwili coś uderzyło Mathisa z boku, powalając go na ziemię.

To był Galaden. Wrzask wiedźmy najwyraźniej nie zadziałał na Strażnika i elf ruszył do natarcia, dzierżąc w dłoniach dwa lustrzane ostrza. Wyznawczynie demonów sparowała pierwsze i drugie uderzenie swoim sztyletem z prędkością, która niemal dorównywała elfickiej. Otworzyła znowu usta i dzwonienie w uszach Mathisa wróciło ze zdwojoną siłą, lecz wtedy ostrza Galadena dosięgły jej gardła.

Krew trysnęła na otaczające ich liście. Wiedźma Uthuków patrzyła wstrząśnięta na swojego zabójcę, po czym padła na ziemię.

Mathis stęknął, próbując wstać. Galaden klęknął przed nim, ostrożnie wyciągnął do niego ręce i odsunął mu zakrwawione dłonie od uszu. Łowczy spojrzał na elfa i zobaczył, że ten porusza ustami.

Starał się nadążyć za wypowiedzianymi słowami, ale nie mógł. Galaden chyba zauważył pełne niezrozumienia spojrzenie, więc zamiast tego pokazał mu coś na migi. Dla Mathisa znaczenie gestów było równie niejasne. Pokręcił tylko głową.

Galaden pomógł mu wstać i poszedł przyjrzeć się ciałom Uthuków. Wyjął z nich strzały, jedną po drugiej, zostawiając tylko te połamane.

Mathis oparł się o zbryzganą krwią korę drzewa. Dzwonienie w uszach powoli ustawało, chociaż nadal czuł ból. Uświadomił sobie, że słyszy półwierkiwanie ptaków w koronach drzew.

Galaden popatrzył na niego, kucając nad ciałem wiedźmy krwi i odzyskując ostatnią ze strzał.



– Słyszysz coś? – zapytał. Jego głos był stłumiony, ale słyszalny. Mathis czuł się tak, jakby jego uszy były zatkane szmatami.

– Tak – powiedział, odchrząkując. – Dziękuję... że mnie uratowałeś.

Galaden nic nie odpowiedział. Wylał strzałę do czysta i włożył z powrotem do kołczanu.

– Prawie nas dopadli – ciągnął Mathis, patrząc ponuro na martwą wiedźmę krwi.

– Mylisz się – powiedział Galaden, wstając. – Byłem świadom ich obecności. Chciałem tylko, żeby myśleli, że jest inaczej. Łatwiej ich zabić, gdy sądzą, że mają przewagę.

– A więc użyłeś mnie jako przynęty? – zapytał powoli Mathis, marszcząc brwi.

– Użyłem nas obu jako przynęty. Zadziałało. Teraz, gdy bojówka Uthuków została zgładzona, moje zadanie w tym regionie dobiegło końca.

Mathis stłumił złość, schylając się ostrożnie po swój łuk i chwiejąc się trochę na nogach. Gdy zdejmował cięciwę, wrócił myślami do chwili po śmierci wiedźmy krwi.

– Jak ty to robisz, że z taką łatwością rozumiesz, co mówię, czytając jedynie z ruchu warg? – spytał, przypominając sobie, jaką trudność sprawiła mu próba zrozumienia Galadena, gdy role były odwrócone.

– Lata praktyki – odpowiedział elf lakonicznie.

Mathis mruknął, rozglądając się przez chwilę po puszczy.

– Ja bym tak nie potrafił – stwierdził, rozmyślając nad desperacką potyczką i różnicami pomiędzy nim a Strażnikiem Dzikich. – Słuch jest kluczowy. Nigdy nie będę w stanie zrozumieć, jak łowca może obejść się bez niego.

Nie usłyszał jednak odpowiedzi. Zastanawiając się, czy znowu stracił słuch, odwrócił się i zmarszczył brwi. Gdy się poruszył, z ulgą usłyszał pod stopą trzask gałązki. Po elfie nie było śladu, nie licząc ciał poległych Uthuków.

Galaden zniknął bez pożegnania.



DESCENT™

LEGENDY MROKU

KEHLI

AUTOR: ROBBIE MACNIVEN

Elf zmrużył oczy, spoglądając na Kehli i pokręcił głową.

– Wybacz, ale rozmówiłem się ze swoimi towarzyszami i doszliśmy do wniosku, że nie będziesz pasować do naszej drużyny.

Kehli wyszczerzyła się do niego i oparła ręce na biodrach.

– A to dlaczego? – spytała. Na twarzy elfa zagościła obojętność sugerująca, że za chwilę zbędzie ją jakąś typową wymówką.

– Dobrze się znamy z moimi towarzyszami – powiedział. – Byliśmy razem na wielu wyprawach.

– Wątpię, że on też – rzekła Kehli, wskazując na dwa wozy za plecami ponurego elfa i ludzi, którzy je ładowali. Najbliżej stał patykowaty młodzieniec z twarzą pokrytą krostami, ubrany w za duże o kilka rozmiarów ciemnobrązowe szaty. Gdy elf spojrzał na niego, chłopak upuścił sobie na stopę beczkę, którą ładował na jeden z wozów, i zawył z bólu.

– Mistrz Landon studiuje na Uniwersytecie Greyhaven – skomentował zwięźle elf, po czym zasłonił młodzieńca z trudem próbującego znowu podnieść pakunek.

– Czyli jest małym, chuderlawym uczniakiem, który nie umie się obchodzić z piwem? – zapytała Kehli.

– Ma kamień runiczny – wysyczał elf. Kehli uniosła dłoń do ust w udawanym szoku. Informacja o źródle magii, którego mógł użyć każdy, nie robiła na niej najmniejszego wrażenia.

– Wybacz, nie miałam pojęcia, że twoja drużyna zapewniła sobie usługi mistrza magii – zadrwiła. – Oby tylko nie posłał was do Ynfernału tym kamykiem!

Elf prychnął, a jego twarz jeszcze bardziej spoważniała.

– Główna karawana do Vynelval odjeżdża za trzy dni – powiedział. – Jestem pewny, że znajdziesz kogoś w Wolnym Mieście, kto chętnie cię zatrudni.

– Ale na pewno nie kogoś, kto udaje się do Sudnayı – zauważyła Kehli.

– To nie mój problem – skwitował elf. – Życzę ci dobrego dnia, Dunwarrko.

Elf najwyraźniej miał na imię Nebulan. Jego towarzyszami byli ork Korren, kobieta Frenela i nieszczęsny Landon. Korren ewidentnie odgrywał rolę mięśniaka w tej drużynie – był wojownikiem o niedźwiedzych rozmiarach, w wysłużonej kolczudze z herbem baronii Telor. Gdyby nie niski wzrost Freneli i brak typowych uszu, Kehli wzięłaby ją za elfkę. Nie była pewna, co kobieta mogła zapewnić drużynie oprócz lutni na plecach i rozmarzonych spojrzeń, które rzucała Nebulanowi.

Tyle Kehli zdążyła ustalić od momentu natknięcia się na tę małą karawanę w tętniącym życiem centrum miasteczka Morwind, które było ośrodkiem handlowym na wschodniej granicy Terrinoth. Miejscowość aspirowała do tytułu Wolnego Miasta i przyciągała wszelkiego rodzaju szubrawców i łajdaków ze wschodnich baronii.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.

Kehli przybyła tu w poszukiwaniu zatrudnienia i kłopotów. Zgodnie z jej wizją świata zwykle i tak było to jedno i to samo. Grunt coraz bardziej palił się jej pod nogami w Hadranhold. Jednoczesne członkostwo w Lidze Alchemików i Gildii Kowali z Forge było zakazane wśród krasnoludów, a Kehli już zbyt długo ryzykowała przyłapanie przez oba cechy. Zdecydowała, przynajmniej początkowo, że najlepszym sposobem na rozwiązanie tego problemu jest zdobycie renomy i bogactwa, dzięki czemu nikt nie zakwestionuje jej pozycji. Spakowała więc młot, tarczę i kuszę i wyruszyła w poszukiwaniu nowego zajęcia.

Już od najmłodszych lat czuła w sobie zew wędrowni. Jej ojciec był bajorzem w Thelgrimie. Za dnia przyuczał innych w Sali Przodków, przekazywał pradawną historię Dunwarrów tym, którzy przychodzili posłuchać i czegoś się dowiedzieć, ale nocą tulił swą jedyną córkę i snuł własne opowieści o zakutych w stal czempionach, przebijających smokach, knujących nekromantach, mądrych kowalach runicznych, koteludzkich łotrach i potworach z Ynfarnaelu. Poznawała ich wszystkich, zanim zmógł ją sen, i podróżowała z nimi do odległych pustyń, wilgotnych dżungli i śnieżnych szczytów, odkrywając niebosiężne kamienne cytadele i pełne chochlików zagajniki Aymhelin.

Kehli postanowiła, że zobaczy kiedyś to wszystko, a nawet więcej. Jednak gdy dorastała, troski szarej codzienności odsunęły te marzenia na dalszy plan. Dopiero kiedy jej ojciec zmarł, zdecydowała, że wcieli w życie zapamiętane historie, które tak rozpalały jej wyobraźnię. Od tamtej pory niemal bez przerwy podróżowała.

Sudanya była jednym z miejsc, których jeszcze nie widziała. Zaginione miasto przewijało się kilka razy w opowieściach jej ojca – była to niebezpieczna kraina pełna ruin i krypt ze skarbami. Po opuszczeniu Hadranhold uznała, że czas najwyższy odwiedzić ten zakątek.

Niestety wyglądało na to, że Nebulan nie chciał jej w swoich szeregach. Z doświadczenia wiedziała, że poszukiwacze przygód czasem tak mieli. Nie była pewna, co ich do niej zniechęciło. Może jej radosne usposobienie nie spodobało się gburowatemu elfowi? Tak czy inaczej, Kehli zamierzała udać się z nimi do Sudanyi, nawet jeśli nie będą tego świadomi.

Wkradnięcie się do większego z dwóch wozów nie było wyzwaniem. Nebulan pokłócił się z Landonem, gdy chłopak upuścił kolejną beczkę. Kehli wykorzystała okazję i dostała się do wozu, zanim ktokolwiek zdążył to zauważyć. Schowała się za skrzynią na tyłach.

Zawsze chciała uczestniczyć w wyprawie poszukiwaczy przygód. Chyba dziś miał być jej szczęśliwy dzień.

– Czy to na pewno dobre miejsce na postój? – zapytał nerwowo Landon, nie spuszczać otaczających ich drzew z oczu.

– Oczywiście – odrzekł oschle Nebulan. – Od Sudanyi dzieli nas pół dnia drogi, a chyba nie chcemy dotrzeć tam po zmroku. Dzisiaj tu odpoczniemy i wyruszymy z samego rana.

Landon wciąż narzekał, ale Nebulan go zignorował. Chłopak od wyjazdu z Morwind nie robił nic innego, tylko biadolił i jęczał. Elf przyjął go do drużyny tylko przez wzgląd na Frenelę, która uważała, że potrzebują czarodzieja, ale sam zaczynał już wątpić, czy student z Greyhaven jest w stanie wykrzesać z siebie choć odrobinę magii.

Poza tym Nebulan nie chciał przyznać, że prawdopodobnie zabłądzili. Nie miał pewności, w którym momencie to nastąpiło, ale nie kojarzył tej okolicy z żadnych opowieści o ruinach Sudanyi. Obiecano im starożytne świątynie i pałace wypełnione skarbami. Zamiast tego zapuścili się w martwy, uschnięty las pełen pyłu i splątanych drzew kruchych jak kości. Jedyną pociechą było to, że nie zgubili szlaku, którym cały czas jechali.

– Roznieć ogień – polecił Korrenowi, który w odpowiedzi tylko chrząknął. Frenela ufała się na tyły wozu, skąd wyciągnęła worek owsa, a z jednej z beczek wzięła kilka jabłek. Początkowo Landon odpowiadał za przygotowanie posiłków dla wszystkich, ale Nebulan był przekonany, że kradnie przy tym jedzenie, więc tę rolę przydzielił Freneli.

– Słyszeliście to? – spytał nagle Landon. Karmił jabłkiem kuca ciągnącego przedni wóz, gdy wydał z siebie zlekniiony jęk i teraz bacznie obserwował drzewa wokoło. Nebulan głośno westchnął.



– Niby co?

– Nie wiem – przyznał Landon żałośnie. – Jakby coś się tam poruszyło.

Wskazał na najbliższe drzewa o powyginanych, trzeszczących konarach. Nebulan westchnął, dobył sztyletu i poszedł we wskazane miejsce, po czym postukał elficką stalą w uschniętą gałąź.

– Nic tu nie ma, Landonie – stwierdził, spoglądając na wszystkich. – Ten las od dawna jest martwy. Korren, zbierzesz w końcu to drzewo na opał?

Ork znowu chrząknął i w końcu ruszył w kierunku suchych drzew po drugiej stronie drogi.

Nie było go tylko przez chwilę. Rozległ się wrzask, który Nebulan wziął z początku za skowyt jakiegoś małego zwierzęcia, ale potem usłyszał pospieszne odgłosy przedzierania się przez gałęzie i grzechotanie zbroi. Korren wybiegł spomiędzy drzew z krzykiem.

– Pająk!

Nebulan mimowolnie się roześmiał.

– Pająk? – powtórzył. – Nie mów mi, że boisz się małego...

Nie zdolał dokończyć zdania, bo przy akompaniamencie trzasku pękających gałęzi z gęstwiny lasu wyłonił się koszmarny stwór – pajęczak ogromnych rozmiarów, większy od Korrena. Szczecina pokrywająca jego odnóża zjeżyła się, a skupisko oczu błyszczało nad paszczą, z której wystawały ociekające jadem kły.

Nebulan wrzasnął i rzucił się do tyłu, gorączkowo szukając łuku. Korren pobiegł, ile sił w nogach, wymijając pospiesznie wozy. Frenela krzyczała. Tylko Landon nie zareagował. Stał jak wryty z wytrzeszczonymi oczami, gdy kreatura rzuciła się na niego.

Pająk zwałił go z nóg i zatopił w nim szczęki, bez trudu przebijając się przez workowate szaty. Nebulan próbował napiąć łuk, ale jego ręce za bardzo drżały. Instynktownie nie chciał patrzeć na to, jak koszmarna bestia rozprawia się z Landonem.

Zanim zdążył odwrócić wzrok, coś walnęło w potwora, przebijając jedno ze skupisk oczu. Pajęczak zapiszczał przenikliwie i zaczął zwijać się z bólu, przygniatając Landona. Nebulan zdał sobie sprawę, że bestię przeszył belt z kuszy. Odwrócił się zszokowany i ujrzał kranoludzię, którą odparł w Morwind. Kehli właśnie odrzucała kuszę na bok i zeskakiwała z wozu.

– Cofnijcie się – ryknęła, wyciągając ciężki z wyglądu młot o podwójnej głowni. Natarła na wijące się monstrum i uderzyła je potężnie w głowę. Raz, drugi, trzeci. W końcu cielsko stwora opadło bezwładnie, choć jego odnóża nadal groteskowo drgały.

– Dobry wieczór, wszystkim – przywitała się Kehli, szczerząc się w uśmiechu do zdziwionej drużyny i wycierając posokę pająka z policzka.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytała powoli osłupiała Frenela.

– No, z Valeheim, jak wy – odparła Kehli, wzruszając ramionami, jakby dwudniowa podróż na gapę w wozie była czymś zwyczajnym.

Podeszła do martwego pająka, oparła nogę o jego bulwiasty bok i zepchnęła go z Landona. Po chwili wahania dołączył do niej Nebulan, spoglądając na leżącego studenta. Chłopak był blady i sztywny jak kłoda. Przez chwilę elf myślał, że nie żyje, ale zorientował się, że jego oczy się poruszają i spoglądają na niego.

– Co mu jest? – zapytał Kehli.

– Klątwa arachyuri – stwierdziła kranoludzią z nutą radości w głosie. – Podobno ma magiczny charakter. Już kiedyś to widziałam. Może sparaliżować tych o słabej woli bez użycia siły fizycznej. Dopóki jego psychika nie pokona klątwy, Landon nie poruszy się przez następne kilka godzin.

– Czemu tu jesteś? – zażądał wyjaśnień Nebulan, przenosząc swoją uwagę na Kehli. – Powiedziałem ci, że nie możesz z nami jechać.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



– Cóż, jeszcze się ucieszysz, że postanowiłam inaczej – skwitowała Kehli, unosząc palec i uciszając elfa. Nebulan zmarszczył gniewnie czoło, lecz nagle dotarło do niego, czego nasłuchują.

Otoczający ich las zaczął trzeszczeć. Odległy szelest, trzask pękających gałęzi i łamiących się konarów stawał się coraz wyraźniejszy. Dźwięki z każdą chwilą przybierały na sile.

– Jest ich tutaj więcej – mruknęła Kehli, a na jej słowa elfa zalała fala strachu. Nie chciał wierzyć dziwnej pasażerce na gapę, ale wydawała się śmiertelnie poważna. – Cały rój arachyuri. Zatrzymaliście się na skraju ich terenów łowieckich.

– O bogowie – zająknęła się Frenela, trzymając kurczowo ramię Nebulana. – Musimy zawrócić, Neb! Pożrą nas wszystkich!

– Nie radziłabym – wtrąciła Kehli. – Nie przy zapadającym zmroku. Najlepiej zostać i rozpaść ogień.

Frenela spojrzała na Nebulana, który odwrócił się, szukając wzrokiem Korrena, i dostrzegł go skulonego ze strachu pod jednym z wozów jak przerażone dziecko. Elf zacisnął usta i pokiwał głową.

– Niech będzie. Ale nadal potrzebny nam opał.

Zebrali najbliższe leżące gałęzie i drwa najszybciej, jak potrafili. Odgłosy nadciągającego roju przyprawiały Nebulana o gęsią skórę, ale starał się o tym nie myśleć, spełniając polecenia Kehli i rozkładając małe stosy gałęzi dookoła wozów. Sama Dunwarrka zdawała się raczej podekscytowana niż przestraszona. Nebulan nie mógł pojąć jej podejścia. Zatrzymała Frenelę, która desperacko próbowała krzesać iskry z krzemienia, żeby podpalić drewno.

– Mam coś lepszego – oznajmiła, sięgając do jednej z kieszeni. Wyciągnęła z niej fiolkę wypełnioną przezroczystym płynem i kilka małych sakiewek. Proszek z woreczków wysypała do fiolki, potrząsnęła nią i wylała ostrożnie kroplę fioletowawej mikstury na suche gałęzie, podczas gdy Nebulan, Frenela i skulony pod wozem Korren bacznie ją obserwowali.

Drzewo natychmiast zajęło się ogniem, a fioletowawy płomień ogarnął cały konar.

– Powinno się palić całą noc – powiedziała Kehli, zajmując się kolejnym stosem. – Pali się mocniej i wolniej od zwykłych płomieni.

– Myślałem, że jesteś tylko jakąś bandycką krasnoludzką włóczęgą – przyznał Nebulan, patrząc, jak Kehli podpala kupki wokół wozów. Kehli uśmiechnęła się szeroko i zaraźliwie, a jej twarz oświetlał magiczny ogień.

– Bo jestem! Jestem też członkinią Ligii Alchemików. Między innymi. Zdziwiłbyś się, co można osiągnąć z kilkoma dobrymi mieszankami pod ręką.

Cienie wydłużały się coraz bardziej, a oni wciąż ustawiali stosy. Odgłosy syczenia i trzaskania dobiegające z lasu nasilały się. Nebulan dostrzegł w ciemnościach jakiś ruch i przyciągnął do siebie Frenelę. Jeśli miał tu zginąć, to przy jej boku. Ta myśl w dziwny sposób dodała otuchy jego struchlałej duszy.

– Jesteśmy bezpieczni, dopóki pozostajemy w kręgu z ognia – oznajmiła Kehli niemal wesóło. – Może oprzyjcie studenta o to koło i zbierzcie się tutaj. Mam kilka opowieści, którymi mogę się podzielić, żeby noc szybciej minęła.

Świt wstawał powoli, szare światło rozlało się po lesie, zapędzając cienie z powrotem w gęstwinę drzew.

W samą porę. Fioletowe płomienie przygasaly, wciąż rzucając nieco blasku na zmęczoną grupę.

W pewnym momencie Kehli zdała sobie sprawę, że jej opowieści przyniosły zamierzony skutek – najgorszy strach, który przytłoczył tę małą drużynę, w końcu ustąpił. Frenela nawet zdołała zasnąć na chwilę, opierając się na ramieniu Nebulana, gdy krasnoludka kończyła ostatnią historię, a Korren nareszcie wyszedł spod wozu. Landonowi pomału wracało czucie w ramionach i nogach, ale nadal nie przemówił.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



Kehli wstała i rozciągnęła się, po czym przytroczyła kuszę do plecaka. Po złowrogich odgłosach, które noc wcześniej mroziły krew w żyłach, nie było już śladu, a otaczający ich las pogrążył się w ciszy.

Krasnoludzica spojrzała przelotnie na znużoną grupkę. Niewiele byli w stanie zdziałać. Powinna to zauważyć, zanim do nich dołączyła. Tak czy inaczej, był to ciekawy wieczór i ma kolejną opowieść do kolekcji. Mijając gasnące ogniska, zaczęła iść wzdłuż drogi w stronę, z której wczoraj przybyli. Między drzewami po obu stronach szlaku nic już się nie ruszało.

– Dokąd idziesz? – spytał Nebulan, chyba zdziwiony kierunkiem obranym przez krasnoludzię. Zerknęła na niego przez ramię i obdarzyła szerokim uśmiechem.

– Z powrotem do Valeheim – odparła, jakby to była najoczywistsza kwestia w całej Mennarze.

– Ale Sudanya jest niedaleko – powiedział Nebulan. – Prawdopodobnie. Nie chcesz do nas dołączyć?

Kehli wzruszyła lekko ramionami.

– Cóż, owszem, szukam grupy poszukiwaczy przygód, której mogłabym być częścią – przyznała. – Ale, bez urazy, wasza czwórka nijak nie przypomina bohaterów z opowieści. Może następnym razem.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.

DESCENT™

LEGENDY MROKU



SYRUS

AUTOR: ROBBIE MACNIVEN

Ten ptak był niegdyś symbolem piękna, tego Syrus był pewien. Magiczna istota siedziała na żerdzi nad kamiennym podwyższeniem na środku komnaty przywołań. Była skulona, a jej ogień prawie zgasł, nie licząc małych płomyczków, które wciąż tliły się na końcach zwiniętych skrzydeł. Jej pióra miały matowy odcień popiołu, a oczy były puste i bez wyrazu.

– To feniks – powiedział Syrus. Greysdon, jego nauczyciel i profesor magii żywiołów, podniósł wzrok znad książki, którą analizował, i lekko zmarszczył czoło.

– Owszem – potwierdził i wrócił do studiowania tomu.

Syrus podszedł do kamiennej płyty. Feniks niespecjalnie zareagował na ich słowa, jedynie lekko nastroszył wypłowiałe pióra. Czarodziejowi zrobiło się żal zwierzęcia. Było uwięzione, skrupowane zarówno fizycznie, jak i magicznie: jeden szpon miało przywiązany do żerdzi, a sześć mis wypełnionych esencją żywiołu wody – aquos – stało w rzędzie na kamieniu poniżej i ociekało pierwotną magią. W młodości Syrus wielokrotnie towarzyszył rodzicom w sokołniczych wyprawach i potrafił rozpoznać, kiedy ptak, magiczny czy nie, cierpi. Ten wydawał się bliski śmierci.

– Jest pan pewien, że może go uleczyć? – zapytał Greysdona.

Profesor nie odpowiedział. Stał za podium w przeciwnym krańcu komnaty przywołań. Pomieszczenie ze szklaną kopułą znajdowało się na szczycie jednej z najwyższych wież Uniwersytetu Greyhaven i miało kształt amfiteatru, w którym rzędy kamiennych siedzisk wznosiły się wokół centralnej części, gdzie umieszczona była kamienna płyta i ptasi więzień. Za dnia służyło za salę wykładową dla studentów ćwiczących kontrolę nad magicznymi energiami znajdującymi się w starannie dobranych zbiornikach magii żywiołów. Dzisiaj jednak Syrus, Greysdon i słabowity feniks byli jedynymi gośćmi.

Syrusa w jego dormitorium obudził dziś profesor we własnej osobie i kazał przyjść do wieży, gdy tylko będzie gotowy. Wezwanie było niespodziewane. Greysdon był surowym uczonym, utalentowanym specjalistą magii żywiołów, który bez wątplenia traktował swoją rolę nauczyciela uniwersyteckiego poważnie. Na pierwszym roku Syrus uzyskał zaledwie zadowalające wyniki z większości zajęć prowadzonych przez profesora, ale za to szło mu bardzo dobrze na indywidualnych lekcjach, które dotyczyły władania energiami żywiołów i tego, jak te energie objawiają się w żywych istotach. Wydawało mu się, że idzie mu coraz lepiej, ale surowe oblicze nauczyciela nadal go peszyło.

– Nie dotykaj mis – powiedział ostro Greysdon, gdy jeszcze raz podniósł wzrok znad książki opartej na pulpicie i zauważył, jak blisko mis z aquos znalazł się jego uczeń. Syrus odsunął się, a profesor głośno zatrzasnął wielkie tomiszcze, po czym szedł z podwyższenia i dołączył do podopiecznego, trzymając w dłoni kostur.

Młody adept pospiesznie sięgnął po własny, zdecydowanie skromniejszy kostur z sękatego jesionowego drewna, który przygotował podczas pierwszego tygodnia na uniwersytecie. Odchrząknął, otrząsając się z zamyślenia.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



– Znasz inkantację zaklęcia wiążącego? – zapytał Greysdon. Słabe światło bijące od pozostałych płomieni feniksa kontrastowało z jego pomarszczoną, podstarzałą twarzą.

– Tak, profesorze – odrzekł Syrus, pospiesznie przywołując tajemnicze słowa w głowie i ściskając fioletową energię żywiołu powietrza, którą otrzymał od Greysdona zaraz po przyjściu.

– W odpowiedniej chwili poproszę cię o jej wypowiedzenie – kontynuował profesor, po czym zaczął zdejmuwać z płyty kamienie neutralizujące. – Jeśli feniks ma przeżyć, musisz związać jego energię, gdy ja będę go leczyć. Czy to jasne?

– Tak, profesorze – powtórzył Syrus. Spojrzał na feniksa i poczuł narastające napięcie. Krążyły plotki, że Greysdon był w stanie przywołać takie stworzenie. Przed dzisiejszym wieczorem, zanim profesor wezwał go i przyciszone, gorączkowym głosem oznajmił, że feniks umrze, jeśli nic nie zrobią, Syrus wierzył w te plotki tylko częściowo. Gdy spytał Greysdona o szczegóły eksperymentów, usłyszał jedynie, że próbuje ocalić życie ptaka. Młody adept nie zdecydował jeszcze, czy wierzył swojemu nauczycielowi, czy nie.

– Jeśli wolno mi spytać, Mistrzu Greysdonie – zaczął niepewnie. – Czy to jakiś test?

Greysdon spojrzał na niego ponad opuszczoną głowę feniksa i zdawkowo się uśmiechnął.

– Nie, nowicjuszu Indahlu, oficjalnie to nie jest test. Nieoficjalnie, cóż, być może. Wydajesz się mieć pewne zdolności, jeśli chodzi o energie życiowe i żywioły. Potrzebuję kogoś do zaklęcia wiążącego, gdy będę wypowiadał główne inkantacje. Jeśli nam się uda, z pewnością otrzymasz wyróżnienie.

Syrus pokiwał ze zrozumieniem głową, mocniej zaciskając rękę na kosturze. Greysdon zdjął ostatni kamień neutralizujący i umieścił wszystkie na pulpicie, po czym wyjął przedmiot o owalnym kształcie z fałd swojej szaty. Trzymając go w dłoni, skinął na Syrusa.

– Rzuć zaklęcie.

Syrus wziął wdech, otworzył fioletową z anemos i dmuchnął na nią. Był to czar żywiołów wykorzystujący mistyczne właściwości, którymi rządziły się siły natury w świecie Mennary. Gwałtowny podmuch z małego artefaktu umożliwiał czarodziejowi okiełznanie esencji i magicznych właściwości żywiołu z nim związanego. Wypowiadając słowa zaklęcia, skupił swoją uwagę na kosturze, którego używał jako przekaźnika mocy, i poczuł wzbierającą energię, aż w końcu całą jej falę.

Feniks wydał z siebie stłumiony pisk, gdy zaklęcie w postaci ledwie widocznej, lekko lśniącej kuli energii otoczyło sylwetkę ptaka. Syrus przymknął na chwilę oczy przy powtarzaniu zaklęcia, starając się je ustabilizować. Gdy je otworzył, pod feniksem leżał trzymany wcześniej przez Greysdona owalny przedmiot. Młody czarodziej dostrzegł teraz, że było to jajo, którego skorupa była nakrapiana ciemnymi plamkami.

– Jajo salamandry – powiedział Greysdon, wyłapując spojrzenie adepta. – Usidli moc ognia.

Po tych słowach profesor wymamrotał inne zaklęcie i jajo zaczęło się jarzyć jasnym blaskiem.

Dezorientacja Syrusa ustąpiła, gdy wstrząśnięty uświadomił sobie, co się naprawdę dzieje. Gdy ujrzał pod feniksem misy wypełnione aquos, sądził, że energie żywiołu wody mają pomóc istocie odzyskać równowagę. Jednak to nie była prawda. Mistyczna ciecz wyssała jego ognistą aurę, a jajo miało wyciągnąć resztę magii płomienia, która pozostała w ciele ptaka.

Feniks zapiszczał. Płomienie rozpalily się wzdłuż jego skrzydeł i tułowia, rozbłyśnęły na chwilę, po czym przygasły, jakby podmuch wiatru ściągnął je w dół do kamiennej płyty, okalając ją pierścieniem ognia. Greysdon nadal wypowiadał zaklęcie. Ogień mienił się w jego oczach, gdy trzymał rękę nad uwięzionym feniksem, przyzywając jego moc i przelewając ją do jaja.

– Przestań! – krzyknął Syrus, a jego szacunek do profesora zastąpiło przerażenie. Grymas niezadowolenia przecięł twarz Greysdona, gdy przerwano jego inkantacje, ale moc nadal przepływała pod jego dłonią. Płonące oczy zwróciły się ku Syrusowi.



– To stworzenie ma wrodzoną magię, Syrusie – oznajmił, zagłuszając odgłosy cierpienia feniksa. – Studiuję ten gatunek od dekad, próbuję okiełznać jego możliwości. Wyobraź sobie, gdyby taki zwykły śmiertelnik jak ty lub ja mógł poczuć esencję Przemiany jak ten ptak, instynktownie, bez źródeł żywiołów albo runicznych kamieni, bez wypowiadania inkantacji. Jesteśmy tak blisko zrozumienia jego natury! Jeśli zdołam go uleczyć, to będzie olbrzymi postęp w badaniach.

– Nie próbujesz go zrozumieć ani uleczyć – powiedział gorączkowo Syrus. – Ty go zabijasz!

– Próbuję go ocalić – odparł Greysdon ponuro. – Jeśli ten ptak to przeżyje, nadmiary jego energii będą bezpiecznie absorbowane przez jajo. Nie będzie już musiał chorować ani być osłabiany!

– Nie – sprzeciwił się Syrus i nie myśląc zbyt długo, rzucił się na jajo. Usłyszał krzyk Greysdona i poczuł falę bólu, gdy jego ręka zderzyła się z czymś twardym – palce zatrzymały się nagle tuż nad jajem, zakłócając przepływ ognistej mocy między nim a uwięzionym, piszczącym feniksem.

Strumień energii żywiołów wzmógł się jeszcze bardziej. Syrus czuł ją wszędzie wokół. Zalewała komnatę przywołań gniewem samej Mennary, sprawiając, że mury drżały, a witraże zdobiące kopułę zaczęły grzechotać. Moc przetaczała się przez kostur i ciało Syrusa – jego ręka pełniła funkcję łącznika między żarłoczną siłą jaja salamandry a energią feniksa.

Zbyt późno zorientował się, że nie zdjął zaklęcia wiążącego, które rzucił na ptaka. Wszedł w obręb sfery i teraz był w niej zamknięty razem z feniksem. Drzemiące w nim energie żywiołów zostały porwane i teraz jego wewnętrzny ogień też był zasysany w stronę jaja.

– Coś ty narobił?! – ryknął Greysdon, uderzając podstawą kostura w bok kamiennej płyty, czym usiłował ją roztrzaskać i rozproszyć moc zagrażającą zawaleniem sali. – Ty głupcze!

– To... zbyt wiele... – zdołał jedynie wydusić Syrus. Jego smagane mocami żywiołów ciało było napięte do granic możliwości. Wiatr w obrębie bańki otaczającej feniksa wzmógł się i szarpał szaty, włosy i brodę młodego adepta, niosąc ze sobą żar bijący z jaja salamandry.

– To cię zabije, jeśli nie przerwiesz kontaktu! – zawołał Greysdon. Na jego twarzy zagościła panika, gdy zdał sobie sprawę, że Syrus został uwięziony przez magiczne energie. – Puść kostur i się odsuń!

Syrus bardzo chciał to zrobić. Zaledwie milimetry od opuszek swoich palców czuł gorąco promieniujące z jaja. Wysysało z nich życie, wywołując palące uczucie, które rozchodziło się po całej ręce. Wypełniało go strachem, paniką, ale wyczuwał też coś innego. Ognista esencja feniksa, jego płomień i magiczna dusza łączyły się z jego duszą, gdy były wtłaczane do rdzenia jaja, gdzie scalały się w jedno.

Zwieńczenie trzymanego przez Syrusa kostura stanęło w płomieniach. Poczuł niezwykle ciepło rozlewające się po całym ciele w odpowiedzi na ognisty głód jaja. To esencja feniksa łączyła się z jego esencją. Światło ponownie zagościło w oczach ptaka, a płomień na jego piórach rozpalili się, gdy skupił swój wzrok na Syrusie.

– Jeśli zerwę kontakt... to stworzenie umrze... – wycedził czarodziej przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli nie zerwiesz, umrzecie obydwój! – krzyknął Greysdon, unosząc swój kostur. Zamierzał zabić feniksa, zanim siły życiowe istoty i Syrusa złączą się jeszcze bardziej.

Młody czarodziej nie mógł na to pozwolić. Wyczuwał duszę stworzenia, znał jej imię – Indris – i gorejący jak płynny metal rdzeń jej świadomości, jej myśli. Okropnie się bała i równie mocno stawiała opór. Nie chciała oddać bez walki resztki swych płomieni, pragnęła uciec, aby jeszcze raz poszybować wysoko i poczuć w sobie nieskrępowaną magię Przemiany. Nie chciała odejść w ten sposób, spętana i w potrzasku, zmieniona w nędzną kupkę zwęglonych piór i pustych kości, wciąż przywiązana do kamienia.

Syrus też nie zamierzał na to pozwolić. W tej chwili zdał sobie sprawę, że prędzej by umarł, niż patrzył, jak to dostojne stworzenie zostaje zniszczone. Zamiast ratować swą duszę z szalejących energii, naparł na nie całą siłą, jeszcze raz usiłując dotknąć jaja.



Bariera, która z początku go odrzuciła, nie była teraz w stanie go powstrzymać, gdyż płynęła w nim moc feniksa. Zmusił się do wytrzymania naporu sił, rzucając się na przeklęte jajo. Ryk bólu i determinacji rozbrzmiał wśród drżących murów komnaty. Syrus zacisnął palce wokół jaja i zalał go ogień płonący furią odradzającego się feniksa. Rozdzierający pisk Indris zlał się z krzykiem czarodzieja. Dźwięk był tak przeszywający, że na witrażach nad nimi pojawiły się pęknięcia, rozbiegając się niczym błyskawice po szkle.

Jajo pękło z hukiem. Jego rdzeń został wypalony gniewem feniksa przekierowanym przez ciało Syrusa. Rozprysło się w ręce czarodzieja, gdy kotłująca się w nim energia nagle eksplodowała. Siła wybuchu odrzuciła Syrusa do tyłu i cisnęła w najniższy rząd amfiteatru, pozbawiając oddechu. Jakimś cudem udało mu się utrzymać swój kostur, płomienie na nim zamigotały, ale nie zgasty.

Oszołomiony adept magii spojrzał w górę przez kłęby dymu i ujrzał odradzającą się Indris. Feniks wracał do życia, jajo i misy poniżej były strzaskane, a ciało i dusza stworzenia uwolniły się z sideł Greysdona. Indris rozwinęła budzące zachwyt skrzydła, bijący z niej biały żar rozświetlał salę. Wzleciała, wydając okrzyk pełen szczęścia, a gdy szybowała wokół popękanej kopuły, witraże skrzyły się skąpane w jej blasku. Po raz pierwszy skołatana dusza Syrusa przepełniła się radością lotu, nieograniczoną, narastającą ekscytacją z nieskrępowania i wolności. To uczucie postawiło go na nogi, czuł się jak nowo narodzony.

Uniósł rękę, która trzymała i zmiażdżyła jajo, zaczął ją zginać i rozprostowywać. Zdawała się nienaruszona, nie licząc uczucia gorąca, ale ono też słabło. Spojrzał nad dłonią na resztę komnaty i spostrzegł, że wszystko się zmieniło.

Widział wielobarwne energie, przedtem dla niego niewidoczne – nieprzewidziany skutek tajemniczej eksplozji, która wstrząsnęła salą. Żywioły były teraz wszędzie wokół niego, jego umysł był świadom ich obecności. Podniósł rękę i z fascynacją obserwował, jak świetliste wstęgi wiją się pod wpływem jego dotyku, tworząc mały, kalejdoskopowy wir czekający na rozkazy.

Miał teraz moc, i to więcej niżby kiedykolwiek śmiał marzyć. Wszystko dzięki jego więzi z Indris.

Greysdon przeżył wybuch. Klęczał na ziemi, dysząc, a pole ochronne, które stworzył z pomocą kostura, zanikało. Wpatrywał się w feniksa, ale gdy Indris spłynęła w dół, w stronę Syrusa, napotkał wzrok swojego ucznia. Jego spojrzenie przepełniała wściekłość.

– To jest... skandal – wydusił z siebie profesor. – Hańba. Miałem to pod kontrolą. Ptak by wyzdrowiał, a twoje wtrącenie się mogło zabić nas wszystkich!

– Lepsze to od stania z boku i ryzykowania, że z żywego stworzenia takiego jak Indris zostanie pusta skrupa – odparł Syrus stanowczym tonem.

Kiedy mówił, wystawił rękę przed siebie, odczytując intencję Indris, która zanurkowała w jego stronę. Magiczny ptak wylądował na jego nadgarstku, zaciskając szpony na karwaszu. Na jej piórach tańczył płynny ogień, jednak żar nie budził lęku w Syrusie. Ich płomienie były jednością.

Greysdon zdawał się ważyć słowa, patrząc na ognistego feniksa i płomień trzaskający z kostura byłego nowicjusza.

– To zmieni wszystko – stwierdził. – Jeśli katedra się dowie...

– Katedra nic o tym nie wiedziała? – spytał Syrus. Greysdon skrzywił się i pokręcił głową.

– Nie, ale na pewno poczuł wylądowanie energii i myślę, że szybko odkryją moc, którą właśnie posiadasz. Bez względu na to, co się wydarzy, Syrusie, musisz uważać na tę nową magię. Naucz się używać jej mądrze, bo takie dary nie są pisane wszystkim.



DESCENT™

LEGENDY MROKU



VAERIX

AUTOR: ROBBIE MACNIVEN

Na ulicach Tamaliru wiał ciepły wiatr, który sprawiał, że drewniane okiennice i szyldy stukwały o siebie, a mieszkańcy Wolnego Miasta oblewali się potem i szukali schronienia w zacienionych zaułkach i na progach domów. Obecna temperatura była niczym w porównaniu z upałem panującym w Wąwozie Czarnego Żaru.

Na rogu jednego z wielu rynków w Tamalirze, niedaleko Czerwonego Mostu, stała Vaerix. Jenu długie kończyny okryte były jedynie białą koszulą i turkusową narzutą. Jak zwykle o tej porze roku rynek wypełniał gwar kupców, podróżników i posłańców ze wszystkich zakątków Terrinoth. W końcu, jak mówiło przysłowie, wszystkie drogi prowadzą do Tamaliru. Vaerix ze swojego punktu obserwacyjnego widział ludzi, krasnoludy – w większości z Dunwarru – troje kupców hyrrinxów i grupę orkowych najemników. Żadnego z nich nie omijano jednak tak szerokim łukiem jak jenu. Choć w takich miejscach smocze hybrydy były tolerowane, nikt nie witał ich z otwartymi ramionami.

Vaerix nie spodziewał się niczego innego. Już od dawna nie przejmował się tym, jak traktują jenu gatunek, jednak tu, wśród gorących ulic Tamaliru, otoczonu widokami, dźwiękami i zapachami rynku, wróciły wspomnienia, ostre i zimne jak północny wiatr. Wygnano go ze Stopionego Wrzosowiska, wydaloną ze służby smoczjej władczyni Levirax, pobito i okaleczono, a następnie odcięto od innych hybryd, nadając status wyrzutka.

Wszystko zaczęło się od snu, choć był on jedynie kroplą, która rozpoczęła burzę, jaką stało się życie Vaerix. Powiedzieli mu, że to nienaturalne, że smocze hybrydy nie śnią. Ale nie mogli zaprzeczać temu, co się wydarzyło. Pewnej nocy zobaczył we śnie rzeź, która wydawała się tak realna, jakby naprawdę się wydarzyła. Straszliwy koniec dla hybryd, które przysięgły posłuszeństwo Levirax.

Co miał zrobić? Zmilczeć i zachować wizję dla siebie? Podążyć razem z pobratymcami drogą do pewnej zguby?

W tłumie zawrzało, gdy emisariusz noszący insygnia baronii Carthridge i para jego ochroniarzy zrobili miejsce dla dwóch postaci, które właśnie wyszły z jurty markietanina wzniesionej na środku rynku. Były to smocze hybrydy, jedna o rudobrunatnych, druga o akwamarynowych łuskach. Obie nosiły lekkie, skórzane pancerze. Ciężkie plecaki i właśnie kupione porcje surowego mięsa sugerowały, że to podróżnicy. Postacie rozmawiały, pogryzając śniadanie, i zdawały się nie zauważać, jak tłum rozstępuje się przed nimi.

Vaerix obserwował je od czasu, gdy prawie godzinę temu weszły na plac. To właśnie dlatego ukrył się na skraju – nie miał zamiaru na nie wpaść. Nie chciał, by go rozpraszano.

Wieści o jenu wygnaniu szybko się rozeszły. W końcu zanim został zdrajcą, był jednym z głównych doradców Levirax i nauczycielem innych smoczyczych hybryd. Na początku nie potrafił sobie z tym poradzić. Ukrywał się, unikał kontaktów z innymi i szukał sposobu, by zapomnieć o wizji. Wreszcie dotarło do niego, że to niemożliwe. Smocze hybrydy służące Levirax czekała zagłada, chyba że udałoby się je przekonać, aby porzuciły drogę, którą dla nich wybrała. Był to jeden z powodów wizyty Vaerix w Tamalirze. Szukał karawany podążającej na



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



północ, do Frostgate, w nadziei, że zdoła znaleźć inne hybrydy w północnych baroniach i powstrzymać rozprzestrzenianie się nauk Levirax.

Uczujące hybrydy były coraz bliżej. Sam ich widok wzbudzał w Vaerix strach, choć wiedział, że niepotrzebnie. Znow odezwał się fantomowy ból w miejscach, gdzie kiedyś były jenu skrzydła, zanim wyrwał je Xenith, pierwszy porucznik Levirax.

Jedna z hybryd podniosła wzrok i spojrzała wu prosto w oczy. Vaerix znow poczuł towarzyszący od chwili wygnania niepokój, gdy pobratymcy zauważyli nu, spojrzeli na siebie porozumiewawczo i skierowali się w jenu stronę. Vaerix ani drgnętu i ścisnętu tylko mocniej swój ciernisty dzwon bojowy.

Stanęli przed num i dotknęli pazurami podstaw rogów.

– Wybacz nam, o silnołuski. Przez ostatnie miesiące nie widzieliśmy wielu naszych pobratymców. Jak się miewasz?

– Witacie mnie, jakbym był smoczym władcą albo jego prawą ręką – zauważytu Vaerix, nie odwzajemniając powitania. – Nie jestem żadnym z nich.

Przybysze spojrzeli na siebie i wreszcie odezwał się ten o niebieskich łuskach.

– Jestem Darix, a to Falzar, wykluliśmy się w jednym miocie.

Czerwona hybryda, Falzar, kiwnętu głową, przytakując.

– Wybacz, nie chcieliśmy cię obrazić – dodał.

– Nie obrażiliście – odpowiedziatu Vaerix, nie mogąc się pozbyć lakonicznego tonu. Hybrydy, wyraźnie zdenerwowane, spojrzętu po sobie, aż wreszcie Darix znow się odezwał.

– Nie chcemy być wścibscy, ale czy jesteś Prorokiem Vaerix?

Falzar spojrzętu ze złością na swojego towarzysza.

– Jestem Vaerix, ale żadnu ze mnie prorok – odparłtu, wzruszając ramionami. – Czy tak mnie teraz nazywają?

– Niektórzy – odezwał się Falzar, uprzedzając swojego towarzysza – ale nie wszyscy.

– Tylko ci wierni Levirax temu zaprzeczają – odparł rozgniewany Darix, mroząc wzrokiem swojego niższego towarzysza. – Ale nie wszyscy wierzą zapewnieniom smoczych władców. Ja ufam twoim słowom.

– A co ja takiego powiedziału? – Vaerix nie pomagałtu zbyt rozmówcom. Czasami czułtu potrzebę, by podzielić się z innymi tym, co wu się przyśniło, sprowadzić ich z drogi do zagłady, którą prowadziła ich Levirax. Innym razem chciałtu być po prostu zostawionu w spokoju. Wspomnienia pazurów Xenitha wbijających się w jenu łuski, dotyku gorącego żelaza i sztyletu, który rozdzielił wu język na dwoje, były wciąż zbyt żywe. Vaerix wiedziatu, że musi znaleźć odwagę, by otwarcie przeciwstawić się Levirax i jej poplecchnikom, ale było to trudne. Bardzo trudne.

– Miałuś wizję – Darix mówił z początku niepewnie, ale z każdym słowem nabierał pewności. – Widziatuś rzeź naszych pobratymców. Upadek smoczych hybryd, przeciwieństwo tego, co opowiada Levirax. Byłtuś jednym z nauczycieli. Nie powiedziałuś tych rzeczy, gdyby nie były prawdą.

– Tak, widziatuś to – zgodziłtu się Vaerix. – Choć codziennie mam nadzieję, że ta wizja nigdy się nie ziści.

– To ostrzeżenie – Darix poważnie skinętu głową.

– To jedna z możliwości – zripostował Falzar i potrząsnętu skrzydłami. – Nie dowiemy się, jak jest naprawdę, jeśli nie spotkamy się z Levirax.

– Mój towarzysz chce zostać czempionem smoczych władców – wyjaśnił poirytowanym tonem Darix. – Od miesiący próbuje mnie przekonać, żeby mu towarzyszył.

– Zastanowiłubym się dwa razy przed podjęciem takiej wędrówki – odpowiedziatu Vaerix, starając się zachować powściągliwość. – Levirax wiele obiecuje, ale niewiele daje. Ci, którzy ją zawiodą, rzadko mogą liczyć na uczciwy proces.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.



– Ona doprowadzi nas do zagłady – Darix spojrzał z góry na swojego towarzysza.

– Już teraz balansujemy na jej krawędzi – odciął się Falzar. – Może się mylę, ale z tego, co słyszałem, tylko Levirax daje nadzieję! To ona zapewni nam dach nad głową, bezpieczeństwo, stabilność, miejsce, gdzie przechodnie nie będą rzucać w nas przekleństwami!

– Ona daje fałszywą nadzieję – poprawił Darix, a Vaerix odsunęła się o krok. – Jesteś ślepy, jeśli myślisz, że smoczy władcy zapewnią nam coś więcej niż niewolę i służbę!

– Jesteśmy z nimi związani, czy tego chcesz, czy nie – odpowiedział Falzar, przeciągając ze złością pazurami po łuskach. – Ich los jest naszym! Nie uda ci się od tego uciec!

– Hybrydy Levirax to kult! Wykorzystuje je dla własnych korzyści i prowadzi ku zagładzie. Nic im nie zawdzięczamy! – krzyknął Darix.

– Mówisz, że to kult, a sam nazywasz nu prorokiem – odpowiedział Falzar, wskazując na Vaerix. – Nie słyszysz czci w swoim głosie? Może teraz plan Levirax nie ma szans powodzenia, bo za mało naszych pobratymców do niej dołączyło? Może po powiększeniu sił odniosłaby sukces!

Vaerix usłyszała już dość. Podniesione głosy przyciągały uwagę tłumu, a nie tego chciał. Nie teraz. Podczas gdy hybrydy kontynuowały kłótnię, Vaerix usunęła się po cichu z placu. Czuła złość i frustrację. Nigdy nie nazywała siebie prorokiem lub mistycznym wieszczem. Niebezpieczeństwo, które groziło smoczym hybrydom, nie było ezoterycznej natury. Było prawdziwe i już nad nimi wisiało. Takie spory stanowiły jedynie początek.

Podczas marszu podjęła ostateczną decyzję.

Levirax zamierzała doprowadzić do zguby każdą hybrydę, która wpadnie w jej szpony. Należało ją powstrzymać. I Vaerix zamierzała to zrobić.



TM/® & © 2021 Fantasy Flight Games.

